Rok 2 Chojnice, dnia 28 listopada 1933. Nr. 91

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK POWIESCIOWY - WYCHODZI 2 RAZY W TYGODNIU

SIEROTY

POWIEŚĆ Z NIEDAWNYCH CZASÓW

48

— Do widzenia na misji! — tak go pożegnał ks. Borowski a Józef westchnął do Boga, ażeby czas ten nadszedł jak najprędzej.

Radość z powodu przyjazdu Józefa do domu była bardzo wielka. Nie tylko matka i siostra radowały się z tego, że go znowu widzą, ale także Rękawikowie, przywiązani do niego, jak do własnego syna.

Także i inni znajomi ze wsi przyszli go powitać i ucieszyć się nim. A więc sołtys Seroń, serdeczny przyjaciel nieboszczyka ojca, gospodarze starzy i poważni Galbierz, Mika, Piecha i stary nauczyciel Smolin, który go uczył w szkole.

Wszyscy oni należeli do ludzi starej daty, nie w tem jednak rozumieniu, jakoby zapatrzywszy się na stosunki dawniejsze, nie mieli zmysłu dla postępu nowszych czasów, lecz w tem, iż idąc z postępem, nie opuszczali dla niego tego z przeszłości, co tak przedtem, jak teraz jak po wszystkie czasy jest sercu drogie. A więc przedewszystkiem byli to gorliwi wyznawcy starej przodków wierności dla wiary świętej, przyjaciele gorąco przywiązani do języka i narodowości swojej polskiej, obrońcy zwyczajów i obyczajów ojców.

Te sprawy uważali za tak wielkie i święte, że choćby postęp nauczył ludzi po powietrzu latać i z piasku złoto robić, aniby nie latali, ani by złota nie robili, gdyby za to mieli porzucić to wszsytko, co nauczyli się kochać.

Miłość wiary i języka była dla nich podstawą życia. Bez niej nie pojmowali życia. Im zaś więcej widzieli takich, których gorączka złota i chęć zbogacenia się od skarbów największych człowieka oddalała, tem więcej oni do nich się przywiązywali i czynnie wzniosłe i zacne zasady swoje szerzyli.

W gminie, wzrastającej bardzo szybko, coraz więcej podnosił głowę duch nowy, szerzony przez pracodawców, ich urzędników i niektórych mieszkańców, którzy wprzągli się niejako do woza „nowych panów". Domagali się oni nietylko równouprawnienia, lecz dążyli do zawładnięcia gminą całkowicie. A jak wszędzie, tak i tu postępowanie ich było nacechowane bezwzględnością, nie oglądającą się na nic, skoro chodzi o ich dobro.

W pierwszym rzędzie chodziło im zawsze o sprawy materjalne, bo osią ich życia był zysk, a najwyższym bożkiem: cielec złoty.

Ale ponieważ w tak burzliwych czasach, jak kulturkampfowe nikt nie mógł pozostać obojętnym na sprawy duchowe, jak sprawy religji, szkoły, języka ojczystego, bo przeciwko nim kie „partja panów" nie mogła oświadczyć, że nic o nich nie wie i z natury rzeczy musiała zająć wobec nich stanowisko. Że zaś główni przywódcy tej partji rzeczy te święte i ważne miarą ludzkiego interesu traktowali a nadto w głębi duszy byli niedowiarkam i masonami, przeto stawiali rowało się ostrze przepisów prawa, przeto i się w służbę ojców kulturkampfu i stawali się jego oddanymi sługami. Na każdym punkcie przeto wrzała walka zacięta i nieubłagana i obie partje, partja ludowa i partja panów toczyły ze sobą bój.

Teraz właśnie chodziło w Zawadzie o nową szkołę. Panowie żądali, ażeby była mieszaną, czyli symulowaną, a partja ludowa domagała się dla szkoły charakteru czysto katolickiego. Wła dzo popierały szkołę symultanną i obiecywały dać pomoc na budowę.

Przy naradach w radzie gminnej obrady by ły długie i bardzo gorące, ale ostatecznie partja ludowa pod dowództwem kupca Rękawika większością głosów odrzuciła szkołę symultanną i oświadczyła, że nie chce pomocy pieniężnej, sko roby za nią charakter wyznaniowy szkoły miał zostać zatracony.

Oburzenie panów było wielkie. Odgrażali się, że przy najbliższych wyborach gminnych będą się starali przeszkodzić wyborowi kandydatów partji ludowej.

O wszystkiem tem rozmawiali zgromadzeni u Makowej przyjaciel, a Józef zagrzewał ich do walki i do wytrwania. Chociaż był najmłodszym zdania jego wszyscy chętnie słuchali, ponieważ miał sąd trafny i mądrość człowieka, poświęconego sprawie Boga i dobru bliźnich.

Wieczór już zapadł, gdy nagle wbiegł do izby krawiec Tomas i mówił:

— Cholewik stawił się dobrowolnie do sądu

— Co mówicie?

— Tak jest ,opowiadał przybyły; dowiedział em się o tem od woźnego. Podczas gdy żandarmi wszędzie po kraju go szukali, on sam przyszedł do sędziego i oddał się w jego ręce. Powiedział też, że nie byłby uciekał, lecz matka jego umierała a on jako syn musiał ją przed śmiercią zobaczyć i otrzymać jej błogosławieństwo. Zdążył jeszcze na czas, bo zastał matkę żywą, lecz jeszcze tego samego dnia umarła. Zgłosił się sam do sądu, ponieważ nie poczuwa się do winy.

Podobno sędzia śledczy bardzo grzecznie z nim się obszedł i okazał mu współczucie.

— Dzielny człowiek, odezwał się na to sołtys Sieroń, ale go szkoda. Jak on udowodni, że fabryki nie podpalił.

— Bóg go nie opuści, rzekł nauczyciel Smolin; ja jestem przekonany, że ani Cholewik ani brat jego nie są podpalaczami.

— I ja tak sądzę, wtrącił gospodarz Galbierz, ale o ile wiem, miano go widzieć owej nocy w pobliżu fabryki. On sam przyznał się, że jest to prawdą, ale nie chciał powiedzieć, gdzie był owej nocy, i co czynił w tym czasie, kiedy go w domu nie było.

Józef słuchając tego wszystkiego, przypomniał sobie opowiadanie księdza Borowskiego i nagle przyszło mu na myśl, czy to właśnie nie Cholewik z Rękawikiem owej nocy księdza nie przeprowadzili do sąsiedniej parafji.

Spojrzał bacznie na Rękawika, który milczał a twarz miał zachmurzoną.

Jeszcze długo siedzieli goście rozmawiając aż gdy jeden z nich zwrócił uwagę, że już czas do domu, pożegnali się, życząc Józefowi, aby mu Pan Bóg pozwolił jak najprędzej zostać kapłanem.

O czem mówili, nikt nie wiedział, lecz po tej rozmowie Rękawik przestał być smutny i zamyślony. Po odjeździe zaś Józefa poszedł do Cholewikowej, zaniósł jej wsparcie i pocieszyłją, że Bóg z pewnością niewinność obu braci wykaże.

76. Powrót księdza proboszcza z wygnania

Wszystko mija na świecie; szczęście przestanie być szczęściem, ani się człowiek nie spostrzeże kiedy, ale i niedola minie, choć wolniej. Może nie wolniej, lecz ponieważ jest ciężka, więc człowiekowi godzina niedoli dniem się wydaje.

Życie ludzkie składa się z doli i niedoli. Raz świeci słońce, raz burza grzmi. Szczęśliwy kto w Bogu ufność pokładając a stateczność umysłu zachowując, przetrwa złe i dobre chwile.

Niedola parafji zawadzkiej także się skończyła, bo czas wygnania ks. proboszcza minął. Odetchnęli wszyscy swobodniej i radowali się w duszy i w sercu.

Wielkiego przyjęcia być nie mogło, bo władze nie pozwoliły, więc tylko liczna deputacja pojechała po księdza aż do Krakowa.

Nikt jednak nie mógł przeszkodzić temu, że nawet żandarmi czuwający nad porządkiem od łez się wstrzymać nie mogli.

Potem ksiądz wygnaniec, wsiadł do powozu i ruszył. A woźnica, młody, dzielny chłopak, trzaskał z bicza, jakby z weselem jechał.

Jechał-ci, jechał zaiste z największem weselem, bo wiózł radość dla całej parafji, wiózł pociechę dla wszystkich, wiózł tego, do którego stęsknione serca ludu się wyrywały.

Więc po swojemu zadanie swoje i honor pojmując, ściągał cuglami konie, ażeby szły paradnie i ogniście.

A za nimi jechały dziesiątki wozów, wszyscy jak z weselem.

Po drodze stały gromadki ludu, powiewały chustkami,, wznosiły okrzyki, podbiegając ku powozowi księdza proboszcza. A gdy ich minął biegli ścieżkami ku kościołowi, aby się prędzej do świątyni Pańskiej dostać i być uczestnikami uroczystości.

Ksiądz proboszcz spoglądał dokoła, zauważając zmiany. Wzrok jego dojrzał wszystko, co inaczej teraz wyglądało niż dawniej.

Wtem ukazał się kościół.

Wtedy ks. proboszcz zatrzymał powóz i wysiadł. Chciał ten kawałek drogi odbyć pieszo, jakby z pielgrzymką.

W jednej chwili wszyscy jadący uczynili tak samo i w momencie uformowała się procesja, która śpiewając „Kto się w opiekę“ postępowała ku kościołowi.

Niebawem też odezwały się dzwony na powitanie. Ludziom się zdawało, że i one weselej dzisiaj dzwonią niż po inne dni.

Gdy weszli wszyscy do kościoła, ks. proboszcz podszedł ku wielkiemu ołtarzowi i padłszy na kolan przed nim, długo się modlił.

Widocznie wygnanie i trudy powrotu bardzo go musiały zmęczyć, bo nie mógł o własnych siłach powstać z klęczek i kościelny musiał mu w tem podomodz.

— Kto wie, czy będzie mógł odprawić mszę świętą — myśleli ludzie, widząc to, lecz za chwilę niepokój ich się skończył, gdy dzwonek przy drzwiach się odezwał a zaraz też ujrzeli księdza wchodzącego ze mszą świętą.

Po tylu miesiącach znowu widzą swego proboszcza przy ołtarzu. Jakże byli tego spragnieni! —

Wszyscy z przejęciem śpiewają podczas mszy świętej piękne pieśni polskie, a organista wygrywa tak ślicznie na organach, jak nigdy dotąd.

Po mszy św. odwrócił się ks. proboszcz do zgromadzonych parafjan i przy ołtarzu stojąc i oń się opierając, zaczął mówić:

— Kogo Pan Bóg miłuje, tego nawiedza krzyżykami. Widocznie parafja zawadzka znalazła łaskę u Pana, skoro nawiedził ją takim krzyżem wielkim i ciężkim, jakim było wygnanie pasterza. Im większy krzyż, tem to dowód większej miłości.

I potem rozwiódł się ks. proboszcz obszerniejo znaczeniu krzyża, o dopuszczeniach Boskich, o łaskach, jakie z krzyża na ludzi spływają i mówił głosem drżącym i słabym, lecz słowa jego wnikały głębok do duszy i serca słuchaczów.

Oczy wszystkich skierowane były na czcigodną twarz ukochanego duszpasterza a serca przyjmowały z radości każde jego słowa.

Gdy pod koniec mówca dziękował parafjanom za wierność dla wiary św. i przywiązanie do Kościoła, a potem też kilka słów dodał za miłość okazaną jemu samemu podczas wygnania i dzisiaj, rozrzewnienie ogarnęło wszystkich i głośny płacz rozległ się w kościele.

Na zakończenie zaśpiewano przy wystawionym Przenajśw. Sakramencie hymn „Ciebie Bże chwalimy“, śpiewany w parafji zawadzkiej jak prawie wszędzie w języku ojczystym.

Potem ks. proboszcz udzielił zgromadzonym błogosławieństwa.

Kiedy wychodził z okścioła, parafjanie utworzyli szpaler, bo każdy chciał księdza jeszcze osobno powitać.

Ksiądz szedł środkiem tego szpaleru a co chwilę zatrzymywał się, pozdrawiając to tego, to owego. Mianowicie ubodzy, jako najwięcej pociechy łaknący, cisnęli się do niego.

On każdemu miłe słowo powiedział, uśmiechał się dobrotliwie, ja kojciec do dzieci.

Był to obraz prawdziwie rozrzewniający.

77. Przed sądem.

Sędzia śledczy ukończył przesłuchy świadków w sprawie o podpalenie fabryki Macka. Nikt z przesłuchanych nie mógł zeznać, że widział, jak Teodor Cholewik podpalał. Stróż nocny poświadczył jedynie, że go widział późno

do domu powracającego, lecz nie mógł powiedzieć, czy wraca do pożaru, czy skądinąd.

I kto wie, czyby sąd wogóle był mu proces wytoczył, gdyby nie okoliczność, że naraz zgłosił się na świadka były urzędnik Macka, pan Horn, który zeznał, że widział owego wieczoru Cholewika niedaleko od fabryki jeszcze z jednym mężczyzną.

Cholewik przyznał się, że to się zgadza, z prawdą, lecz nie chciał powiedzieć, kto był owym mężczyzną, ani też, co obaj zrobili po spotkaniu.

To dawało do myślenia i powiększało podejrzenie. Skutkiem tego też sąd postanowił wytoczyć braciom Cholewikom proces. Teodorowi o podpalenie, bratu jego zaś o pomoc przy tem.

Ani jednego ,ani drugiego nie wypuszczono z więzienia ,aż sąd sprawy nie rozstrzygnie.

Wszyscy mieszkańcy Zawady litowali się nad losem braci, szczególnie zaś nad losem Cholewikowej. Współczucie to sprawiło, że kto tylko mógł wspierał ją w ciężkiem przejściu. Najwięcej czynił dla niej kupiec Rękawik, ciągle jej powtarzając, iż Bóg niewinnych choćby w ostatniej chwili ,uratuje od skazania i niewinność ich ukaże oczom wszystkich.

Rękawik nie mówił tego bez podstawy, aby nieszczęśliwą pocieszyć. Zajął on się sprawą oskarżonych bardzo czynnie. Sam poszedł do adwokata, sam zapłacił, co mu się należało za obronę a potem często narady z nim odbywał.

Trzy dni zaś przed procesem wyjechał niespodzianie ,nie mówiąc nikomu, dokąd się udaje. Z podróży wrócił dopiero dzień przed procesem.

Chociaż to był wieczór, Cholewik pojechał zaraz do adwokata a z nim razem mężczyzna, nieznany tutaj nikomu. Obaj naradzali się długo z obrońcą, a gdy wyszli, Rękawik odjechał do Zawady, obcy zaś udał się na probostwo.

Na termin zeszło się wielu ludzi, bo wszyscy wiedzieli, o procesie i słyszeli o Cholewiku, który wyłamał się z więzienia, aby widzieć umierającą matkę. Urósł on przez to w oczach ludu na bohatera i wszyscy, mianowicie kobiety pragnęły go zobaczyć. Sala, na której sąd przysięgłych się zebrał, zapełniona była świadkami i słuchaczami. Gdy oskarżonych wprowadzono powstał szmer między obecnymi, wszyscy zwrócili oczy na obu braci.

Oni zaś szli ze spokojem na twarzy, bo mieli spokój w sercu.

Gdy wszsytkie formalności załatwiono, oddalono wszystkich świadków ze sali a zaczęto przesłuchiwać oskarżonych, a mianowicie Teodora Cholewika. Tenże zeznawał tak jak przed sędzią śledczym. Co powiedział, było proste i jasne. Sędziowie łatwo spostrzegli, że nie stara się, aby przebiegłem tłumaczeniem z podejrzenia się oczyścić, lecz mówi tak, jak się sprawa miała.

Dopiero gdy sędzia do tego punktu przesłuchów doszedł, gdy Teodor Cholewik miał wyjaśnić, gdzie owej nocy przebywał, i kto był owym mężczyzną, z którym go widziano, oskarżony tak samo, jak przed sędzią śledczym oświadczył, iż niczego o tem powiedzieć nie może

Ta okoliczność pogarszała jego położenie i niejeden ze sędziów, dotąd dobrze dla oskarżonego usposobionych, zastanowił się, czy rzeczywiście można wierzyć w jego zeznania, skoro owej tajemnicy wyjawić nie chce.

Lecz wtem trącił się do przesłuchów obrońca oskarżonego i rzekł:

— Co do tego punktu postawię w właściwym czasie wniosek o przesłuchanie dwóch świadków, którzy zeznają, że oskarżony nie mógł znajdować się przy fabryce, albowiem był zupełnie gdzieindziej.

Słowa te sprawiły największe wrażenie na samym oskarżonym. Rzucił bystre spojrzenie na obrońcę, a kto by to był zauważył, mógł się domyśleć, jakoby Cholewik się trwożył, że tajemnica zostanie wykrytą.

Tymczasem sąd wzywał jednego świadka po drugim i badał ich skrupulatnie. Zeznania wszystkich były krótkie, lecz z tego, co powiedzieli, nie wynikało, aby jeden z Cholewików miał być podpalaczem.

Między świadkami znajdował się także pan Franek Mack. Zapytany o oskarżonych, nie mógł przeczyć, że należeli do najlepszych jego pracowników. Przez cały czas, jak ich zatrudniał, nigdy nie miał powodu do niezadowolenia

Tutaj znowu odezwał się obrońca:

— Z jakiej przyczyny zostali tedy z pracy wydaleni.

To pytanie zmieszało Franka Macka niemało, a przewodniczący sądu, widząc to, chciał świadka od odpowiedzi zwolnić, lecz obrońca zaprotestował przeciwko temu.

— Pytanie to jest bardzo ważne, mówił, bo skoro się okaże, że bez przyczyny z pracy wydaleni zostali, w takim razie, nawet gdyby byli winni, wina ich może znaleźć łagodniejszy sąd u panów sędziów.

Dla tego obstaję przy tem, aby świadek na to pytanie dał odpowiedź.

Sąd zaczął się naradzać, czy świadek ma na pytanie obrońcy odpowiedzieć, czy nie.

Tymczasem Mack to bladł, to czerwienił się a ludzie spoglądając na niego, szeptali, że sumienie go gryzie, za to niesłuszne pokrzywdzenie robotników za wybory.

Na koniec sąd orzekł, że świadek na pytanie odpowiedzieć nie potrzebuje.

— W takim razie — odezwał się obrońca — postawię inne pytanie: Czy obaj oskarżeni, a mianowicie Teodor Cholewik przestąpili jakikolwiek przepis ustawy fabrycznej.

— Nie odpowiedział Mack .

— Wydalenie ich zatem, pytał dalej obrońca, nie nastąpiło z przyczyn, wynikających ze stosunku roboczego?

— Nie, odrzekł. Mack.

— O to mi chodziło, zawołał na to obrońca, Więcej pytań nie chcę stawiać świadkowi.

Przesłuchy innych świadków odbywały się szybko; ani obrońca, ani sędziowie przysięgli nie stawiali pytań, przysłuchując się jedynie temu, o co przewodniczący sądu się pytał.

Dopiero gdy wezwano pana Horna, obrońca znowu się wtrącił.

— Świadek zeznał, że przypadkiem z przechadzki idąc, spotkał owego wieczoru oskarżonego Teodora Cholewika .

— Tak.

— A jak się to stało, że świadek wywichnął przy tej przechadzce nogę?

— Chciałem przeskoczyć przez rów, odrzekł pan Horn, i przytem upadłem. Nie wywichnąłem wprawdzie nogi a,le ją sobie stłukłem.

— Czy pan mógł o własnych siłach powstać?

— Nie.

— Któż więc panu dopomógł?

— Jakiś człowiek.

— Kto to był?

— Nie znam go, zresztą ból mi tak dokuczał, że nie przyjrzałem się nawet lepiej owemu człowiekowi, przypuszczam, że to musiał być robotnik.

— Dziwną jest rzeczą, przerwał obrońca, że świadek wolno po przechadzce idąc, tyle był nieuważny. Albo czy się pan może bardzo spieszył.

— Nie.

— Więc pan nie biegł?

— Nie.

— Czy pan sobie całkiem dokładnie przypomina, że doszedł zupełnie wolno i spokojnie aż do rowu.

— Tak.

Potem przesłuchano jeszcze dwóch świadków, którzy nic o sprawie całej nie wiedzieli, tylko z pogłosek między ludźmi krążących, przypuszczali, iż oskarżony Teodor Cholewik miał być podpalaczem.

Teraz nadeszła pora, na którą obrońca czekał.

— Stawiam wniosek o przesłuchanie księdza Borowskiego, który ważne rzeczy zeznać może.

Na te słowa oskarżony Teodor Cholewik zmieszał się bardzo i z trwogą spoglądał ku drzwiom

Za chwilę wszedł znany już czytelnikom młody kapłan, ks. Borowski.

Przewodniczący spisał z nim protokół co do tego, jak się nazywa, kiedy się urodził i gdzie mieszka.

Na ostatnie pytanie odpowiedział świadek, jak następuje:

— Nie mam stałego mieszkania, lecz w ciągłej znajduję się podróży. Jeśli się gdzie zatrzymam, to tylko na krótki czas.

Przewodniczący zdziwiony spojrzał na świadka i zapytał:

— Jakże to być może?

— Jestem wyświęcony na księdza niedawno, gdy nowe prawa państwowe ustanowieniu księży przeszkody prawne stawiają.

— Czem się ksiądz zatrudnia?

— Duszpasterstwem .

— W podróży?

— Tak. Jadę tamdotąd, dokąd mnie władza duchowna pośle.

Z tych słów wszyscy poznali, że świadek należy do księży, którzy w tajny sposób sprawują duszpasterstwo w katolickich parafjach osieroconych.

— Co ksiądz może powiedzieć, coby sąd o niewinności oskarżonego Teodora Cholewika przekonało.

— Teodor Cholewik był moim przewodnikiem, gdym nieznany przybył tudotąd i do sąsiedniej parafji udać się zamierzał.

To zeznanie sprawiło wielkie wrażenie. Cholewik zaś spuścił oczy, jakby był niezadowolony z zeznania. W duszy ubolewał nad księdzem który wyznawszy, że w parafji sąsiedniej duszpasterstwo sprawował, naraża się na ostrą karę. Byłby wolał cierpieć sam, aniżeli księdza zdradzić.

Przewodniczący sądu nie dał jednak jeszcze za wygraną i dalej pytał:

— Oskarżony zaprowadził zatem księdza do wsi, a potem wrócił. Jak długo mógł być przy księdzu.

— Przynajmniej trzy godziny, odrzekł ksiądz

— Dla czego tak długo? Przecie do wsi nie jest tak daleko.

— Cholewik nie tylko mnie zaprowadził, lecz i zapoznał z ludźmi, a to zabrało wiele czasu

— Ale gdy od księdza odszedł, czy nie mógł fabryki podpalić?

— O tem nię wiem.

— Co do tego, proszę wezwać na świadka kupca Rękawika.

Po chwili i ten świadek stanął przed sądem i na zapytanie opowiedział, co następuje:

— Wiadomość o przyjeździe księdza otrzymałem bardzo późno. Skorom ją jednak otrzymał, udałem się natychmiast do Cholewika, zbudziłem go i powiedziałem, o co chodzi. Wybrałem go na przewodnika dla tego, ponieważ pochodzi z tamtej parafji i wszystkich ludzi dobrze zna. On udał się zatem ku dworcowi, ja poszedłem do domu. Lecz na krótką chwilę nadbiegł Cholewik z wiadomością, że księdza w drodze spotkał. Zabrałem się czemprędzej i poszliśmy wszyscy trzej. Gdyśmy księdza zaprowadzili, wróciliśmy obydwaj z Cholewikiem do wsi. Już z daleka spostrzegliśmy łunę pożaru. Z ciekawości podeszliśmy bliżej, ale niedługo potem udaliśmy się od domu. Cholewik pozostał jeszcze u mnie z dobrą godzinę.

Z tego wynika, odezwał się obrońca, że oskarżony Cholewik nie mógł być podpalaczem Jak bowiem świadek Rękawik pod przysięgą zeznaje, był Cholewik przed pożarem w domu i spał. Potem zeznaje ks. Borowski, i kupiec Rękawik, że przebywali wszyscy trzej przynajmniej cztery godziny poza Zawadą. Chodziłoby więc tylko o ten czas, gdy Cholewik od Rękawika wyszedł, a księdza spotkał.

Już długo mogło to trwać?

— Najwyżej ćwierć godziny, odpowiedział Rękawik.

— Ćwierć godziny nie starczy, aby zabiedz od kupca Rękawika do fabryki Macka. Zresztą mamy świadka na to, iż Cholewik w tym czasie znajdował się na drodze. Pan Horn zeznał, że go widział. Kiedy to było? spytał oskarżonego.

— Kilka minut po tem, gdym od pana Rękawika wyszedł. Zaledwie mnie pan Horn minął spotkałem księdza.

Sąd zawezwał świadków Horna i ks. Borowskiego ażeby stanęli sobie do oczu.

Horn zmieszany spoglądał na księdza, a ten z łatwością rozpoznał owego człowieka, którem dopomagał gdy upadł.

— Czy pan poznaje księdza? spytał sędzia.

Nie... nie przypominam sobie, odpowiedział świadek.

Jakto? rzekł obrońca, przecież ksiądz dopomógł panu wstać, gdyś upadł, czy prawda?

Tak.

Jak to było? spytał sędzia.

Ksiądz zaczął opowiadać:

Gdy na dworcu nie zastałem przewodnika, udałem się wypytawszy ludzi o drogę, ścieżkami koło fabryki ku wsi. Lecz ponieważ wieczór nie był zbyt ciemny, łatwo mogłem widzieć, w którą stronę iść trzeba.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Drukiem druk. Dziennika Pomorskiego, Chojnice.
Red. dodatku: A. Makowski Chojnice
Wydawca Juljusz Schreiber, Chojnice.